

BOGDAN CYBULSKI

Uniwersytet Wrocławski

Profesor Kazimierz Orzechowski — mistrz, szef, opoka

Uznałem, że jeżeli niniejszym tomem oddajemy Profesorowi hołd, to nie sposób pominąć tych obszarów, które często jako „niepoddające się poważnej ocenie” są pomijane przy podobnych publikacjach. Dorobek naukowy i życiorys Profesora przedstawili Marian Ptak¹, Piotr Jurek², Bożena i Józef Koredczukowie³, Edmund Klein⁴, Stanisław Rogowski⁵.

Wywód o Profesorze — jako mistrzu, szefie i opoce zarazem — jest całkowicie subiektywną oceną jednego z asystentów (później adiunkta) Instytutu i opiera się przede wszystkim na obserwacjach i odczuciach, poczynwszy od lat 70. do 90. XX w. Jestem przekonany, że moi koledzy mają swoją własną wizję Profesora, ale, jak sądzę, nie odbiega ona w sposób zasadniczy od prezentowanej poniżej.

¹ M.J. Ptak, *Profesor Kazimierz Orzechowski (1923–2009)*, „Państwo i Prawo” 64, 2009, z. 9, s. 104 n.

² P. Jurek, *Profesor Kazimierz Orzechowski dziekanem Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego im. Bolesława Bieruta*, AUW No 3015, Prawo 303, Wrocław 2007, s. 103 n.

³ B. Koredczuk, J. Koredczuk, *Bibliografia prac prof. dra Kazimierza Orzechowskiego*, AUW No 1477, Prawo 222, Wrocław 1993, s. 13 n.; kontynuacja bibliografii w: AUW No 2501, Prawo 275, Wrocław 2003, s. 9 n.

⁴ E. Klein, *Profesorowi Kazimierzowi Orzechowskiemu naszemu Mistrzowi, Przyjacielowi i Dyrektorowi w siedemdziesiąt rocznicę urodzin i 45-lecie pracy naukowej grono pracowników Instytutu Historii Państwa i Prawa* (Słowo wstępne do książki jubileuszowej), Prawo 222, Wrocław 1993, s. 9.

⁵ S. Rogowski, *Działalność polityczna i społeczna pracowników Instytutu Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 1969–2006*, Prawo 303, Wrocław 2007, s. 127 n.

Mistrz

Profesor zawsze był „źródłowcem”. Mimo wielkiej erudycji jego publikacje były w ogromnej przewadze efektem kwerendy archiwalnej. Przez całe dziesięciolecie Profesor, dzień w dzień, spędzał dwie, trzy godziny, dokonując ręcznie wypisów z dokumentów sporządzanych od XIII do XVIII w., a dotyczących szeroko rozumianego ustroju Śląska i prawa obowiązującego w tej dzielnicy (później w księstwach śląskich). Profesor konsekwentnie i z wielkim uporem pokonywał wszystkie przeszkody związane z odczytaniem i interpretowaniem dokumentów w języku łacińskim, a późniejszych w niemieckim, pisanych różnymi rękami i w bardzo zmiennej konwencji gramatycznej. Wspominam to, bowiem obserwacja dokonań Profesora była dla nas, młodych adeptów, znakomitą szkołą. Wypracował swój warsztat zupełnie samodzielnie, ale przecież pod ojcowskim patronatem swojego mistrza, profesora Seweryna Wysłoucha (profesor Wysłouch zatrudnił Kazimierza Orzechowskiego w Katedrze w 1947 r., jeszcze jako studenta, i był jego zwierzchnikiem — najpierw jako szef Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, a następnie jako dyrektor Instytutu, aż do śmierci w 1968 r.). Profesor nigdy nas nie terroryzował oczekiwaniem, że będziemy szli jego drogą. Uważał, że każdy z nas, jeżeli chce osiągnąć sukcesy w pracy naukowej, też musi zbudować własny warsztat i określić obszar badawczy. Potwierdzeniem jest droga naukowa Stanisława Rogowskiego, pierwszego „bezpośredniego” ucznia Profesora, oraz Piotra Jurka. Stanisław Rogowski (obecnie adiunkt, od 1989 r. poseł RP, przez dwie kadencje rzecznik praw ubezpieczonych) rozpoczął pracę w Instytucie w roku 1969 i skupił się na ustroju i prawie II Rzeczypospolitej (obronił doktorat pt. *Komisja Mieszana dla Górnego Śląska 1922–1937*, opublikowany przez Instytut Śląski w Opolu w 1977 r.). Natomiast Piotr Jurek (obecnie profesor) podjął badania nad konfederacjami śląskich stanów (doktorat pt. *Śląskie pokoje krajowe*). Co ciekawe, Marian Ptak (profesor, obecnie dyrektor Instytutu), którego promotorem był profesor Franciszek Połomski, zajmujący się przede wszystkim prawem obowiązującym w III Rzeszy, stał się kontynuatorem badań Kazimierza Orzechowskiego, przez wiele lat analizując ustrój, a przede wszystkim prawo, obowiązujące na Śląsku okresu feudalizmu równoległe z Profesorem. Tak jak profesor Kazimierz Orzechowski samodzielnie tworzył swój warsztat naukowy, pod życzliwym, acz surowym patronatem profesora Seweryna Wysłoucha, tak Marian Ptak z uporem i konsekwencją budował swój, idąc drogą Profesora — tyle że z trzydziestoletnim przesunięciem czasowym.

Każdy z nas zaadaptował z profesorskiego wzorca warsztatowego inne elementy, ale wiedzieliśmy, czy różnica wynika z powodów obiektywnych (inne pole badawcze, inny rodzaj źródeł), czy z naszej słabości. Profesor tylko raz — jak pamiętam — nie ukrył przed nami satysfakcji z osiągniętej doskonałości w badaniu XIII- i XIV-wiecznych dokumentów. Było to po jego powrocie z kwerendy archiwalnej w Merseburgu. Opowiedział, jak pewnego dnia w czytelni archiwum jeden

z niemieckich badaczy, mając kłopot z odczytaniem i zrozumieniem dokumentu, zwrócił się z prośbą o pomoc. Profesor opowiadał — z tym charakterystycznym uśmiechem — jak Niemiec zaniemówił, gdy dowiedział się, że pomógł mu polski uczony. Pamiętamy też pouczającą anegdotkę opowiedzianą przez Profesora:

Wydarzyło się to pod koniec lat 50. [oczywiście XX w. — B.C.]. Zwróciłem się do mojego profesora [Seweryna Wysłoucha] z gryzącą mnie wątpliwością, czy nadaję się do pracy w Katedrze, bowiem jeden z kolegów ma znakomitą pamięć, cytuje jak z rękawa prace innych autorów, a ja tego nie potrafię. Profesor wysłuchał mnie z rosnącym zniecierpliwieniem i wreszcie powiedział: „Nie zwracaj mi i sobie tym głowy, rób swoje. Bo ty piszesz dlatego, że dzielisz się wiedzą opartą na źródłach, do których dotarłeś, często pierwszy, a on [tu padło nazwisko — B.C.] ma kłopot i nigdy nie wie, czy sam coś ustalił, czy to, co ma do napisania, to tylko kompilacja — dobra pamięć może być bowiem balastem zabijającym samodzielność myślenia”.

Oczywiście większość pracowników Instytutu zatrudnionych w końcu lat 60. XX w. (i później) miała innych opiekunów naukowych. Ci jednak także byli wychowankami profesora Wysłoucha, więc pracownicy, nawet różniąc się od profesora Kazimierza Orzechowskiego warsztatowo i polami badawczymi, w istocie mieli wiele cech wspólnych. W Instytucie panował duch łagodnego feudalizmu. Po śmierci suwerena, profesora Wysłoucha, jego miejsce zajął profesor Kazimierz Orzechowski. Poniżej nietyпова drabina feudalna. Asystent czy adiunkt mógł zawsze zwrócić się do suwerena z pominięciem swojego seniora, czyli promotora, bowiem Profesor był dla nas wzorem — i to bez względu na to, czy byliśmy „rzemianami”, „powszechniakami” czy „polonusami”.

Profesor był konsekwentnie przedstawicielem klasycznej, jak ją nazywaliśmy, szkoły niemieckiej. W swoich pracach, a tego oczekiwał także od nas, wystrzegał się emocji, warstwę oceniającą zawsze redukował do niezbędnego minimum, każde zdanie musiało mieć wsparcie źródłowe, najlepiej potwierdzone odpowiednim przypisem. Bardzo to kontrastowało z temperamentem osobistym Profesora i jego poczuciem humoru. Byliśmy głęboko przekonani, że te okowy warsztatowe uniemożliwiają Profesorowi podzielenie się z czytelnikiem nagromadzoną olbrzymią wiedzą o dziejach Śląska (i nie tylko). Jego prace były naukowe i w tym sensie, że kierowane były tak naprawdę przede wszystkim do innych historyków (o czym zresztą przesądzały nakłady). Popularyzatorem historii był znakomitym na wykładach, uwielbianych przez studentów, licznych odczytach, na które był zapraszany przez różne środowiska, ale nie w swoich publikacjach naukowych — bo były naukowe i już! Tego też oczekiwał od nas. Kiedyś, dla żartu, pisząc artykuł o sądownictwie obywatelskim (czyli z udziałem sędziów niebędących prawnikami), poszczególne części zaopatrzyłem w takie podtytuły: „Czarne chmury nad sądami ławniczymi”, „Komisja Kodyfikacyjna gromi sędziów niezawodowych” itp. Przekazałem maszynopis Profesorowi z prośbą o przeczytanie i czekałem na

reakcję. I doczekałem się... Bo kiedy Profesor po przeczytaniu (a robił to zwykle bardzo szybko) wezwał mnie, poparzył z pewną troską w oczach i powiedział: „Co ciebie napadło, synu? Artykuł jest dobry, ale te tytuły... Wiesz, ile mi czasu zajęło, żeby te bzdurne »Czarne chmury« zastąpić z sensem?” (Profesor, który bardzo rzadko oglądał telewizję, nie zorientował się, że żart związany był z aktualnie wyświetlanym serialem o tym tytule).

Dopiero pod koniec życia Profesor troszeczkę złagodził narzucony sobie reżim formalny. W znakomitej, opublikowanej w 2005 r. *Historii ustroju Śląska 1202–1740* zrezygnował z przypisów, dzięki czemu wywód nabrał wartości, a ja, czytając tę monografię, pomyślałem: jak wiele czytelnicy tracą przez to, że Profesor nie zdecydował się, jak dzisiaj mówi młodzież, „pójść na całość” i nie napisał drugiej wersji — dla szerokiego kręgu miłośników historii i tego regionu. Pięknym, barwnym językiem, ze swadą i z wieloma ciekawymi epizodami rozmawiał z nami o swoich ustaleniach badawczych i przemyśleniach; zawsze robił to z wielkim zaangażowaniem emocjonalnym.

Bardzo często byliśmy z Profesora dumni, bowiem nasz mistrz był szanowany i lubiany przez większość wybitnych profesorów historii państwa i prawa, miał też bardzo dobre relacje z kolegami z Instytutu Historii naszego Uniwersytetu. Świetnie czuliśmy się na tradycyjnych zjazdach katedr historycznoprawnych. Z zapałem i radością pomagaliśmy w przygotowaniach do takiego zjazdu w Karpaczu w 1974 r. Recenzentem wielu naszych artykułów był profesor Stanisław Grodziski i odczuwaliśmy, że życzliwość recenzenta spływała na nas zgodnie z zasadą: przyjaciele mojego przyjaciela są moimi przyjaciółmi.

Dzisiaj, po latach, sam się dziwię, że pisanie o Profesorze jako mistrzu to w istocie potwierdzanie rzeczy oczywistej. Przed laty był po prostu szefem, bardzo uczynnym i życzliwym starszym kolegą o ogromnym dorobku naukowym. Nie było w Profesorze nic sztucznego, najwyżej trochę mentorstwa — niezbędnego zresztą i uprawnionego: wszak miał Profesor do czynienia z bardzo młodymi ludźmi (myślę tu o asystentach), którym trudno się było ustatkować po pełnym spontaniczności życiu studenckim.

Teraz, gdy Profesora zabrakło, mamy w sobie częśćkę jego, częśćkę naszych opiekunów i promotorów oraz częśćeczkę tego, co zdołaliśmy wypracować sami — ale pod ich czujnym i życzliwym okiem.

Szef

Obejmując stanowisko najpierw kierownika Katedry Historii Ustroju i Prawa Polskiego (1968), a z chwilą utworzenia w 1969 r. instytutów — dyrektora Instytutu Historii Państwa i Prawa, profesor był osobą powszechnie znaną w środowisku uniwersyteckim, pełnił bowiem wcześniej funkcję prorektora do spraw nauczania (1962–1965), miał też doświadczenie wynikające z pełnienia obowiązków prodziekana i dziekana Wydziału Prawa. Niewątpliwie ta aktywność

organizatorsko-administracyjna ułatwiała zarządzanie Instytutem. Nie bez znaczenia było i to, że Profesor wszędzie spotykał się z życzliwością, szczególnie pań, które ujmował kulturą i do których odnosił się z atencją. Od początku pełnienia obowiązków dyrektorskich jego pozycję wzmacniał status naukowy, był bowiem jednym z trzech profesorów zwyczajnych na Wydziale Prawa w połowie lat 70. XX w. Dla „podwładnych” pozycja Profesora była odczuwalna w wielu trudnych sytuacjach zawodowych i życiowych. Chronił pracowników skutecznie przed naciskami struktur partyjnych, opiniujących każdą kandydaturę w procesie przyjmowania do pracy, przy awansach czy okresowych ocenach pracowników. Wiedzieliśmy, że to trudne zadanie dla człowieka, który nie krył swojego aktywnego życia religijnego i który kieruje Instytutem o najniższym w skali całego wydziału upartyjnienu. Dobrą ilustracją stosunku Profesora do oczekiwań POP (dla młodszych czytelników: podstawowej organizacji partyjnej PZPR; na szczęście już niedługo trzeba będzie rozwijać także ten ostatni skrót) była rozmowa, jaką Profesor przeprowadził ze mną w związku z propozycją profesora Alfreda Koniecznego o zatrudnieniu mnie w Instytucie. Profesor w trakcie rozmowy zapytał między innymi o to, czy jestem członkiem partii (tj. PZPR). Po odpowiedzi, że nie, zapytał, czy jestem może kandydatem. Odpowiedziałem też, że nie. Profesor wyraźnie „zmartwił się” i otwarcie wyjaśnił, że może być kłopot, bo towarzysze i tak się czepiają, że Instytut „odstaje”. Spytał, czy nie chciałbym zapisać się do partii, bo w przeciwnym razie mogę nie być zaakceptowany. Odpowiedziałem, że to nie chodzi w grę, bo interesuję się bardziej sportem niż polityką i jak się nie uda, to trudno (pracowałem wówczas jako referent prawny w jednej z firm państwowych). Profesor poprosił o przybycie za tydzień. Druga rozmowa przebiegła tak: — Mamy szczęście, „oni” się zgodzili. Czy pan pali? — Nie, panie profesorze. — Profesor wysunął szufladę swojego biurka (gabinet Profesora mógł służyć za dekorację do filmu o latach 30. XX w., a gdyby usunąć starą maszynę do pisania — nawet o przełomie XIX i XX w.), wyciągnął fajkę i powiedział: „To stara bruyerka, proszę ją przyjąć, tu jest tytoń i upychacz, i zapalimy sobie razem na dobry początek współpracy”. Widząc moje zdziwienie (wszyscy wiedzieliśmy oczywiście, że Profesor nie rozstaje się z fajką), wyjaśnił: „fajka to nie szczoteczka do zębów, można dobrze przepaloną podarować lub użyzyć”. Grzecznie podziękowałem, Profesor pomógł mi ją nabić i tak już zostało. Od tamtej rozmowy minęło 38 lat, fajki prawie nie wyjmuję z ust i ciągle mam w pamięci ową fajkę pokoju bez uprzedniej wojny — na przyszłą dobrą współpracę.

Szef pomógł nam wszystkim w rozwoju naukowym i w osiągnięciu kolejnych szczebli kariery. Uroczę było to, że bez żadnych oznak dominacji pomoc swoją świadczył nam, nie konsultując się z naszymi bezpośrednimi opiekunami i szefami katedr, jakby było to oczywiste, że i on, i promotorzy są po to, abyśmy się rozwijali. Bez skrępowania i uparcie dopytywał się o postępy w badaniach i „gonił” wszystkich wytrwale do przyspieszenia doktoratów i habilitacji. Nie uchylał się też od czytania naszych prac przed oddaniem do druku.

Profesor rzadko się unosił, ale bywały też ciche dni (i tygodnie). Gdy był niezadowolony, karał nas przez zamykanie się w gabinecie (tam powstawały wszystkie jego prace — nie w domu). Na szczęście była Danusia (nasza wspaniała sekretarka, a przede wszystkim dobry duch Instytutu, którą Profesor traktował jak córkę i wobec której był bezradny). To przez Danusię informowaliśmy Profesora o swoich problemach i potrzebach, no bo jakże by to wyglądało, tak bezpośrednio Profesorowi głowę zawracać.

To był — jak przystało na Profesora — szef nietypowy. Gdy przenieśliśmy się do innego budynku i trzeba było przetaszczyć kilka tysięcy książek, należało zrobić to osobiście. Szef, mający doskonałe relacje z pracownią stolarską (istniała na Uniwersytecie), zaopatrzył nas w kilka drewnianych „nosiłków” zakładanych na plecy, na których układaliśmy książki i wnosiliśmy na IV i V piętro. Nosiliśmy wszyscy, z Profesorem na czele. Śmiał się, bo przypominało mu to lata 40., gdy brał udział w pozyskiwaniu książek do Uniwersytetu Wrocławskiego (jeździli po Dolnym Śląsku, przeszukiwali ruiny).

Miał też zasadę: najpierw porozmawiać, uzgodnić, a dopiero później pisać (chodziło o pisma urzędowe). Uważał, że jest nieestosowne i często nieskuteczne zaskakiwanie adresata pismem. Jeżeli tylko było to możliwe, wysłanie korespondencji poprzedzały rozmowy. W ich efekcie albo sprawa była załatwiona, albo pismo nie wychodziło z Instytutu (bo po co, skoro nieskuteczne). Dla nas, młodych adeptów, postępowanie Profesora było ogromnie ważne, bowiem jeśli Profesor zaczynał dyktować Danusi pismo w sprawach dla nas istotnych, wiedzieliśmy, że to formalność — szef to już uzgodnił. Po latach większość z nas wzoruje się na Profesorze, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Jako pracownicy byliśmy małą rodziną — kilkanaście osób przebywających ze sobą bardzo często. Nasz kontakt ze starszymi kolegami był bezpośredni i bliski. Profesorowie Lesław Winowski, Jerzy Falenciak, Edmund Klein, Teresa Janasz, Alfred Konieczny i Franciszek Połomski byli kolegami Profesora Orzechowskiego (L. Winowski, J. Falenciak trochę starszymi, pozostali trochę młodszymi); my, asystenci i adiunkci (zatrudnieni w Instytucie od połowy lat 60.), mieliśmy w ich osobach nauczycieli i opiekunów. Czuliśmy się w ich obecności bezpiecznie, a zarazem bardzo dobrze.

Na zakończenie wspomnień o Profesorze jako szefie taki obrazek: połowa lat 70., posiedzenie Instytutu. Profesor relacjonuje bardzo emocjonalnie jakąś rozmowę z dziekanem. W pewnym momencie profesor Jerzy Falenciak (kierownik Katedry Prawa Rzymskiego) zwraca się do Profesora: „Kazimierzu, powiedz mi, proszę, czy ty rzeczywiście to tak przeżywasz, czy tylko udajesz?” Profesorowi na chwilę mowę odjęło, lekko poczerwieniał i po dłuższej chwili odpowiedział: „Wiesz, Jurek, rzeczywiście sprawa nie zasługuje na takie emocjonalne podejście”.

Profesor był szefem — tak go nazywaliśmy, bo sprawowana funkcja dyrektora Instytutu była dla nas zagadnieniem formalnym. Stosunek emocjonalny, całko-

wita akceptacja przywództwa kryły się w tym, że uznaliśmy go za szefa kompletnego (mistrza, formalnego reprezentanta Instytutu, przyjaciela).

Opoka

Po latach ocena tego, co było naszym udziałem, paradoksalnie staje się prosta i łatwa do wyartykułowania. Nasza pamięć cudownie oczyszcza obraz, usuwając kiedyś ważne, jak się wydawało w danej chwili, po latach nieistotne zdarzenia. Nieuchronnie i suwerennie na swój sposób malujemy obraz (odbywa się to jakby obok naszej bieżącej działalności, „z tyłu głowy”). Szkicując obraz Profesora, nie sposób pominąć tła, czyli tego wszystkiego, co obraz ów uzupełniało poza tym, że był dla nas mistrzem i szefem. Był bowiem także opoką. Żadne inne określenie nie wydaje mi się właściwe. Instytut był naszym drugim domem. Spędzaliśmy ze sobą bardzo dużo czasu, wypełnianego nie tylko rozmowami o historii prawa. Zdawało się, że w Instytucie Profesor był zawsze. Przyjeżdżał do pracy przed godziną ósmą i przebywał do późnych godzin popołudniowych. Obiad spożywał w stołówce dla pracowników. W promieniu kilkuset metrów miał wszystko, co było dla niego ważne: archiwum, gmach główny i Wydział Prawa Uniwersytetu, kościół, księgarnię i sale wykładowe. Każdy z asystentów i adiunktów, przebywając w Instytucie (a byliśmy praktycznie codziennie, często w soboty i niedziele), ciągle miał z Profesorem styczność. Znał nasze rodziny i nasze problemy. My znaliśmy życie rodzinne Profesora. Zналиśmy małego Kazia juniora, dzisiaj profesora chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. Profesor dzielił się z nami radością ojca widzącego dorastającego syna, my — często o to Profesor pytał — wiadomościami o swoich dzieciach. Profesora odwiedzała też w Instytucie córka, z biegiem lat coraz bardziej chodząca swoimi drogami artystka. Pewnego razu przyszedł do Instytutu i opowiedział, jak ciężko przeżył wywiadówkę Kazia (który był wtedy chyba pierwszoklasistą). Wychowawczyni opowiadała, że pytała dzieci, czym ich rodzice się zajmują. Kazio, zapytany, powiedział, że jego tatuś z dziesięciu książek pisze jedenastą... Innym razem Profesor poinformował, że odpadł mu jeden problem — pomoc synowi w nauce języka niemieckiego — bo tak synowi pomógł, że ten dostał dwóję... Profesor znał bowiem świetnie ten język, ale nie „delektował się” współczesną gramatyką. Traktował jej znajomość bardzo pragmatycznie, badając stare dokumenty.

Bywaliśmy na wspólnych wyjazdach wypoczynkowych. Zapadł nam w pamięć trzytygodniowy wyjazd nad morze do Sobieszewa we wrześniu 1978 r. Profesor był z synem i jego szkolnym kolegą (obaj byli wówczas w ogólniaku) oraz kilkoma adiunktami z rodzinami. Był też profesor Edmund Klein. My, mimo nie najlepszej pogody, z uporem kapaliśmy się i okopywaliśmy na pustej o tej porze roku plaży, a Profesor, opatulony w ortalionowy płaszcz, siedział z książką. Uwielbiał czytać kryminały Agathy Christie w oryginale. W ramach relaksu Profesor czytywał na przemian dzieła klasyków greckich i książki sensacyjne, np. Forsytha

i Alistaira MacLeana. Zawsze mówił, że poważne książki czyta wówczas, gdy pracuje. Nam, młodym, bardzo to odpowiadało. W latach 80. kilkakrotnie rezerwowaliśmy jeden z trzech „Krokusów” (domków w ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym Uniwersytetu Wrocławskiego w Karpaczu) i razem spędzaliśmy po trzy, cztery dni. Profesor był wówczas ojcem dużej rodziny. Ten czas spacerów, rozmów, brydża przy winie oraz w tumanach dymu z fajek i papierosów ciągle powraca w naszych wspomnieniach.

Wspominam o tych okrucinach życia, aby oddać atmosferę, którą roztaczał Profesor, bez patosu, serdeczną, bezpośrednią.

Znał nasze rodziny, one też dobrze czuły się przy Profesorze, pomagał nam praktycznie w każdej sytuacji. A to w szybkiej interwencji medycznej, gdy tylko się dowiedział o chorobie (było Profesorowi zupełnie obojętne, czy chodziło o żonę, dziecko, rodziców pracownika lub o niego samego), a to popierając skutecznie starania o jakieś przyzwoite lokum. Zadziwiał nas rozległymi znajomościami wśród pracowników innych uczelni, przeważnie byli to profesorowie (w latach 70. i późniejszych). Na nasze pytania odpowiadał, że to pokłosie przełomu lat 40. i 50. — Wówczas środowisko naukowe we Wrocławiu było bardzo zżyte, profesorowie i młodszy pracownicy naukowi spotykali się bardzo często, również towarzysko. Przy okazji spotkań profesorów spotykaliśmy się i my — ich asystenci. Teraz, po latach, większość tych profesorów już nie żyje, a ich asystenci i adiunkci są tak jak ja profesorami. — I dodawał: „Zobaczycie, że za kilkanaście lat z wami będzie tak samo”.

Ta otwartość Profesora na nasze problemy, ta ciągłość wspólnego przeżywania nie tylko spraw zawodowych, ale także ciągle potwierdzana przez Profesora gotowość niesienia pomocy pracownikom Instytutu także w sprawach prywatnych powodowała, że był dla większości z nas osobą całkowitego zaufania, był właśnie opoką.

Professor Kazimierz Orzechowski — Meister, Chef und Fels in der Brandung

Zusammenfassung

Der Verfasser, einer der vielen Schüler des Professors Orzechowski, gedenkt ehrenvoll seinen Meister und Chef, der für ihn auch zum Fels in der Brandung wurde, in dem universelle Werte verewigt wurden. Seinen Meister – Professor Orzechowski, schätzt er für die Einarbeitung junger Mitarbeiter in die Archivarbeit und die Lehre, um Publikationen vor allem auf Quellenmaterial zu stützen. Herrn Kazimierz Orzechowski als Direktor des Instituts für Staats- und Rechtsgeschichte hält er für einen ungewöhnlichen Chef. Im Institut gab es keine unerledigten Angelegenheiten und das Problem des Verzugs existierte nicht. Der Verfasser hebt hervor, dass das Institut für Herrn Professor zu einem Zuhause wurde und die Mitarbeiter seine „kleine Familie“ bildeten.